

Boże Narodzenie w Łodzi i w Wilmington w stanie Delaware



Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Część 1. Łódź.

Święta kościelne wyznaczały nasze życie. Na kilka tygodni wcześniej robiono porządki. Myto okna, zawieszano świeże, wykrochmalone firanki, białym papierem wykładano wszystkie półki w kredensie i szafach. W ostatni dzień pastowało się podłogi. Ten zapach kojarzy mi się dotąd z uroczystościami, ze świętami. Chyba najmiłsze były święta Bożego Narodzenia. Ogród zazwyczaj tonął w śniegu. Kilka tygodni wcześniej pod dyktando Mamy z białych papierowych pasków robiliśmy gwiazdki na choinkę. Każdego roku dokupowaliśmy nowe bombki. Tatuś kilka dni przed świętami przynosił dużą choinkę, którą trzymał w komórce, wstawiając do wiadra z

wodą. Ubieraliśmy ją w dzień przed Wigilią. Stała w pokoju, w którym spałam, zwanym przez nas pokojem stołowym. Pachniała tak intensywnie, że odurzona zapachem nie mogłam się rano obudzić.

Przed Bożym Narodzeniem przy pomocy Mamy, a potem sama, długi czas pisywałam listy do świętego Mikołaja. Prosiłam o zabawki i zawsze o małego niedźwiadka, o którym marzyłam całe wczesne dzieciństwo. List kładłam do skrzynki i zawsze następnego dnia znikał. Mama mówiła, że święty Mikołaj zabierał go nocą. Kilka tygodni przed świętami Rodzice kupowali mięso wieprzowe, szynkę, baleron i potem peklowali, trzymając w saetrze, soli i ziołach. Tatuś obwiązywał mięso równo sznurkiem i wędził. W ogrodzie ustawiał specjalną beczkę do wędzenia, wcześniej „dla zapachu” znosił z lasu gałęzie z jałowca. Uwędzone szynki i balerony wieszał w przylegającej do domu komórce. Wędliny zatem mieliśmy od Bożego Narodzenia do Wielkanocy. Na święta wielkanocne czynności wędzenia powtarzały się i powstawał kolejny zapas na kolejne tygodnie. Latem były głównie jaja, owoce i warzywa.

W przeddzień Wigilii Tatuś przynosił żywe karpie i zamrożonego sandacza. Karpie skupiały nas nad wanienką, w której pływały. W nocy jedne zasypiały, inne Mama musiała następnego dnia sama zabić. Były to dramaty dla nas niemałe i odwiecznie związane ze świętami. Same przygotowania do wieczerzy wigilijnej trwały wiele godzin. Wszystkie czynności i zwyczaje były symboliczne i tradycyjne, miały niemal sakralny charakter. Już od wczesnych godzin rannych obowiązywały surowe reguły. Mama mówiła, że „Jaka Wigilia, taki cały rok”. Wstawaliśmy rano, bo to zapowiadało, że cały rok będzie się z ochotą i rażnie wstawało do pracy i szkoły. Należało tego dnia wyeliminować to, co mogłoby zwiastować niepomyślny rok, a więc wszystkie prace trzeba było wykonywać ze starannością. Od rana niecierpliwie patrzyłam na Mamę przygotowującą kolację. Cały dzień zachowywaliśmy post i Mama przestrzegała nas, by się nie najeść do syta przed Wigilią, powinniśmy bowiem do niej zasiąść lekko podgłodzeni. Po południu kazała mi patrzeć w niebo w poszukiwaniu pierwszej gwiazdki. Miała to być gwiazda, która prowadziła Trzech Mędrców ze Wschodu do Stajenki Betlejmskiej. Tatuś wracał wcześniej do domu.



Do kolacji wkładałam najładniejszą sukienkę. Stół przykryty był białym, wykrochmalonym obrusem, na środku na talerzyku leżał opłatek, obok było sianko. Przed przystąpieniem do kolacji dzieliliśmy się opłatkiem. To właśnie on nadawał Wigilii jakiś nierzeczywisty, uniwersalny wymiar. Każdy z nas osobno podchodził do siebie i składał życzenia; trwało to dość długo. Nie zapomnę wzruszeń i wysiłku, by życzenia były osobiste i specjalne dla każdego. Potem Mama podawała pyszną zupę z suszonych grzybów, najlepiej z prawdziwków, z łazankami, kluseczkami pokrajanymi w „krawaciki”. Kolejno jedliśmy, po trochu kosztując wszystkiego - kaszę jaglaną, usmażone na maśle i otoczone w jajku i bułeczce suszone grzyby z zupy, ryby pod różnymi postaciami: smażone karpie i sandacze, karp na słodko, śledzie panierowane w mące i smażone w oleju konopnym, śledzie w oliwie, w śmietanie, rolmopsy. Była także specjalność wigilijna, tzw. makielki (bułeczka maczana w mleku z nałożonym na wierzch farszem z bakalii, maku, rodzynek). Makielki, jak mawiali Rodzice, dawały kolorowe sny. Na deser jedliśmy ciasta: babkę i moje ulubione makowce. Był także kompot zwany suszem, bo ugotowany z suszonych śliwek, jabłek, gruszek. Dań musiało być jedenaście lub trzynaście, zawsze nie do pary, i oczywiście wszystkie były postne.

Jak napisałam, podczas wieczerzy należało skosztować każdej z podawanych potraw,

bo to świadczyło, iż głód nie będzie doskwierał w nadchodzącym roku, a obfitość różnych dań była zapowiedzią przyszłorocznych dobrodziejstw. Dopiero po wieczery obdarowywaliśmy się prezentami. Zawsze dostawałam książkę i zabawki. Kiedyś braciom Ojciec własnoręcznie wykonał z drewna duży samolot. Miał ruchome kółka i śmigło; po latach zaczęła schodzić z niego farba i Tatuś go czasami na nowo malował. Był tak trwały, że długo służył jeszcze małemu Tomkowi. Zapamiętałam szczególnie mebelki do domku dla lalek, które ustawiałam w rogu sypialni. Miałam kilka lalek, ale prawdziwie dużą i piękną, wymarzoną od dawna śpiącą lalę, ubraną w krakowski strój, dostałam dopiero mając trzynaście lat. Zachowałam ją do dziś. Gdy byłam w wieku szkolnym, na Gwiazdkę najczęściej dostawałam „odpowiednie do wieku” książki, długopisy i wieczne pióra.

Bawiąc się i słuchając kolęd, czekaliśmy prawie do północy i wszyscy szliśmy pieszo na Pasterkę do kaplicy sióstr salezjanek. Była bliżej niż parafialny kościół Dobrego Pasterza i można było znaleźć dla siebie miejsca siedzące. W czasie Pasterki jako pierwszą śpiewało się przepiękną kolędę, jedną z najstarszych, do której słowa w XVIII wieku napisał Franciszek Karpiński: „Bóg się rodzi”. Popularnością dorównuje jej jedynie starsza o trzy stulecia, anonimowa kolęda „Anioł pasterzom mówił” i śpiewana na nutę poloneza „W żłobie leży, któż pobieży kolędować małemu”. Koloryt polskich kolęd sprawił, że jako małej dziewczynce długo wydawało mi się, że Pan Jezus urodził się gdzieś w Polsce, w małej stajence na wsi. Pasterze zbudzeni przez aniołów i spieszący do szopy wydawali mi się polskimi parobkami. Boże Narodzenie zaś najbardziej polskim świętem, z grudniowym mrozem, kożuchami, butami i czapami. Byłam zawiedziona dowiedziawszy się, że Pan Jezus przyszedł na świat w dalekim Betlejem, najmniejszym z miast Judy.



Trzej Królowie

Kiedy jako dorosła osoba zobaczyłam to miasto, wydało mi się nadzwyczajne: zbudowane z białego i różowego kamienia, rozłożone na dwóch zboczach pokrytych winnicami, gaikami figowymi, migdałowymi, drzewami granatów i oliwek. Byłam bardzo przejęta, odwiedzając Bazylikę Narodzenia prowadzącą do Groty Narodzenia. Wzruszyłam się jednak dopiero, znajdując polskie akcenty w Palestynie, jak choćby: III i IV stację Drogi Krzyżowej w Jerozolimie, pomnik z płaskorzeźbami Matki Boskiej Częstochowskiej w Tyberiadzie na dziedzińcu kościoła św. Piotra Rybaka wzniesiony w 1945 roku przez żołnierzy 2. Korpusu, wizerunek polskiej Madonny w otoczeniu Mieszka I i Dąbrówki w sanktuarium Zwiastowania w Nazarecie.

Mała kaplica sióstr salezjanek brzmiała silnie głosami, wśród których szczególnie wyróżniał się melodyjny głos Mamy. Wracałam senna i szybko kładłam się do łóżka, żeby pamiętać, co się śniło, bowiem wróżba była na nadchodzący styczeń. Sny od Wilii do Trzech Króli dawały wróżbę na cały rok. Mama także zwykła mówić, że jeżeli nie byliśmy posłuszni w dzień wigilijny, to takimi pozostaniemy cały rok. Starłam się jak mogłam, ale też wciąż czymś się irytowałam. Może dlatego, że dzień niósł tyle wrażeń i emocji.

Sylwestra spędzaliśmy w domu, nie czekaliśmy północy. W Nowy Rok szliśmy do kościoła, aby otrzymać „błogosławieństwo na cały rok”. Później oczekiwaliśmy odwiedzin księdza po kolędzie, który modlił się z nami i zostawiał dla nas kolorowe

obrazki. Te święte obrazki wkładałam do książeczki do nabożeństwa i mam je chyba wszystkie do dzisiaj.

Po Nowym Roku chodziliśmy na przedstawienia jasełek, które organizowano w kościele Dobrego Pasterza i bardzo starannie u ojców salezjanów na Wodnej. Postaci Matki Boskiej, świętego Józefa, Archanioła Gabriela, Heroda, Diabła wypełniały moją wyobraźnię w długie zimowe wieczory.

Lubiłam zimowe święta, bo wciąż jakby się przedłużały. Po Bożym Narodzeniu następowało święto Trzech Króli albo Objawienia Pańskiego, bo Chrystus po raz pierwszy ukazuje się wtedy światu. W kościele odbywała się procesja idąca trzy razy, bo Magowie też wracali inną drogą. W tradycji chrześcijańskiej byli nazwani Królami, Mędrkami lub Magami. Chociaż nie wiemy dokładnie, kim byli, domyślamy się jednak, że byli uczonymi - zajmowali się zapewne astrologią i naukami tajemnymi. Gwiazda, którą ujrzeli, zgodnie z panującym przekonaniem, iż każdy człowiek posiada własną, była gwiazdą nowego władcy. Wyruszyli w daleką i niebezpieczną drogę, by oddać pokłon narodzonemu Królowi, hołd należny tylko monarchom. Gwiazda o niezwykłej jasności zaprowadziła ich do Betlejem, do pasterkiej szopy, gdzie u stóp Jezusa złożyli dary. Dary były symbolami: złoto - to atrybut władzy i panowania, kadzidło - symbol kapłaństwa, a mirra zapowiadała mękę i śmierć Chrystusa na krzyżu. Mirra to wonna żywica, której ludy Wschodu używają do balsamowania zwłok. Trzem Mędrcom nadano imiona: Kacper, Melchior i Baltazar. Po przyjściu z kościoła z mszy Mama kreśliła poświęconą kredą inicjały ich imion na zewnętrznych drzwiach oraz bieżący rok. Wiązało się to z przekonaniem, że znaki te mają chronić dom od nieszczęść.

Fragment książki „Ulica Żółwiego Strumienia”, Warszawa 2004, s. 52-57.



Norman Boehm, Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Thomas Tomczyk, fot. arch. AZ-B.
Część 2. Wilmington.

Grudzień 2015 r.

Pobyt w Ameryce trochę zmienił mój Bożonarodzeniowy rytuał, głównie pod względem ilości dań. Mój mąż Amerykanin zwykle sam ubierał choinkę i salonik ozdabiał różnymi stroikami przywiezionymi z pobytów głównie w Anglii i Norwegii, mamy kilka także z Polski. Dawniej mieliśmy dużą choinkę (najchętniej *Douglas* lub *Frasier Fir*, które nie gubią igieł), ale od kilku lat mamy żywą w doniczce, którą potem zasadzamy w ogrodzie. Wieczorem rozbrzmiewa muzyka kolęd z całego świata, oczywiście przywiozłam nagrania kolęd polskich. Norman czasami grał także kolędy na pianinie, ale nigdy nie nauczył się polskich. Mój syn, Tomek towarzyszy mi zawsze na święta, przylatując z najdalszych stron świata.

Wprowadziłam post w Dzień Wigilijny, choć protestanci tego zwyczaju nie mają. Pięknie przyjął się opłatek, który mi przysłała rodzina z Polski. Norman i wszyscy znajomi uważają, że to bardzo wzruszający zwyczaj. Oboje nie przepadamy za pierogami, nie przygotowuję wielu innych dań, które są tak bogato obecne na stołach w Polsce, podchodzę pod tym względem bardziej praktycznie: podaję tylko zupę i rybę. W moich stronach, w stanie Delaware, nie można kupić karpia, o którym Amerykanie mówią, że jest błotnistą, mało szlachetną rybą, więc od lat podaję łososia. Nawet gdy byliśmy w Polsce i miałam święta z rodziną po 18 latach przerwy, karp nie smakował Normanowi tak, jak np. sandacz. (mój mąż myśli, że pyszna pangra jest polską rybą, nie protestowałam, że jest eksportowana z Chin). Nie podaję śledzia, który kupiony w słoiku nie bardzo nam smakuje. Mam przywiezione z Polski suszone grzyby i podaję zupę grzybową z kluseczkami, i ona zawsze wzbudza zachwyty wszystkich koneserów. Prezenty rozpakowujemy po kolacji. O północy idziemy na pasterkę. Bardzo mi brakuje drugiego dnia świąt. Drzewa przed domem ubrane są światłami, które trzymamy kilka tygodni, nie jak wielu naszych sąsiadów, którzy zdejmują je zaraz po świętach.